

Współczesny Cygan wędruje po świecie na motorze

PREMIERA

Sukces „Manru” w Operze Narodowej zawdzięcza temu, że z niedocenianego dzieła powstał spektakl bardzo dobrze wyreżyserowany.

Sprawna, mądra reżyseria powinna być czymś oczywistym, ale dzisiaj inscenizatorzy operowi kierują wysiłki ku wymyślaniu pomysłów niemających wiele wspólnego z utworem. I które nie chcą składać się w spójną całość.

U Marka Weissa wszystko ma zaś uzasadnienie, choć on także daleko odszedł od szczegółów przedstawionych przez

Paderewskiego w „Manru”. Zamiast święta na podhalańskiej wsi oglądamy współczesny dom weselny. Dzieci w krakowskich strojach siedzące na proscenium wydają się pustym ozdobnikiem, ale odegrają swą rolę, gdy pojawi się para młoda z orszakiem. A tancerze szybko porzucają pewnym momencie ludowe sukmany, by coraz bardziej ekspresyjny taniec (choreografia Izadora Weiss) zamienić w samosąd nad wyklętą przez wieś Ulanę.

Kłująca w oczy kiczowatym bogactwem weselna scena pokazuje społeczność sytą i okrutną dla każdego, kto nie

żyje według powszechnie przyjętych norm. Nikt nie zaakceptuje tu kogoś obcego jak Manru. Od uczuć, od empatii i umiejętności wybaczenia ważniejsza jest chęć bogacenia się.

Taka jest też Jadwiga (świetna rola Anny Lubańskiej), która przeklina córkę Ulanę za związek z Manru. On wędrował po świecie na motorze, ale zakochał się i został we wsi. Czy na zawsze, skoro dotąd nie uznawał sztywnych reguł?

Powstał spektakl współczesny, ale mimo pewnych odstępstw wierny oryginałowi, bo w innych realiach pokazuje to, co chciał Paderewski – konflikt dwóch społeczności. Ma-

rek Weiss wie przy tym, jak intymny charakter tej opery połączyć – ku zadowoleniu publiczności – z elementami dużego widowiska.

Najważniejsza wszakże jest spójność reżyserskich poczynań. Co więcej, Marek Weiss udowodnił, że niedocenione dzieło Paderewskiego, traktowane przez nas jako opera drugiej kategorii, ma wiele wartościowych fragmentów muzycznych o silnym ładunku dramatycznym, zapisanym bardziej właśnie w nutach niż w słowach.

Atutem jest także starannie dobrana obsada na czele ze Słowakiem Peterem Bergerem

(Manru) obdarzonym mocnym, tenorowym głosem. Gdyby jeszcze Grzegorz Nowak, dyrygując, chciał wnikliwiej pokierować śpiewakami, poszczególne postaci stałyby się bardziej zniuansowane. Mikołaj Zalasinski nie nakreśliłby może cynicznego Uroka na jednym poziomie dynamicznym, a przykuwająca skądinąd uwagę Monika Lezdion-Porczyńska odnalazłaby może w cygańskich melodiach Azy więcej finezyjnej zmysłowości.

Jedynie Ewa Tracz potrafiła wydobyć z partii Ulany bogactwo różnych odcieni. Ale też ta młoda śpiewaczka ma piękny

głos, talent oraz intuicję pozwalającą jej wczuć się nawet w tak skomplikowaną muzykę, jaką stworzył Paderewski.

„Manru” powrócił więc w chwałę, choć chyba dyrekcja Opery Narodowej nie do końca wierzyła w sukces Paderewskiego. Na razie zaplanowano tylko trzy przedstawienia, kolejne dopiero późną wiosną. A teraz inscenizacja Marka Weissa przeniesie się do koproducenta, do Teatru Wielkiego w Poznaniu. ©

—Jacek Marczyński



Zdjęcia z „Manru”
w Operze Narodowej

rp.pl/kultura